

TRUMNA I TE CAŁE CEREGIELE

KRZYSZTOF KONOPA




BLACK UNICORN



Publikatornia

Self-publishing platform

TRUMNA
I
TE CAIE CEREGIELE

KRZYSZTOF KONOPA

TRUMNA
I
TE CAIE CEREGIELE



BLACK UNICORN

© Copyright by Krzysztof Konopa, 2010

Korekta:
Izabela Rytwińska

DTP:
Paweł Bociarski

Wydawnictwo:
BLACK UNICORN ul.
Harcerska 7/33 44-335
Jastrzębie-Zdrój
www.blackunicorn.pl

Jastrzębie-Zdrój 2010
Wydanie 1

ISBN 978-83-7732-037-2

Narzeczonej Annie

Masz moc zmieniania na lepsz

Opowieść o zmęczonych duszach

– A tych dwoje gdzie znaleziono?

– A... pod jakimś wiaduktem, czy coś.

– Którzy to już w tym tygodniu?

– Bo ja wiem... dużo tego ostatnio wszędzie. Kto by tam ich wszystkich zliczył, jakby mało było tego, że musimy ich przywozić, odbierać, sprawdzać tożsamość i takie tam. Jedno jest pewne, jeszcze dużo ich będzie, bo na nagłe ocieplenie w tym roku nie ma co liczyć.

– To prawda. Mrozy są straszne, a do tego tak ślisko na ulicach i chodnikach.

– To akurat jest zabawne, bo gdzie się nie spojrzy, tam jakieś babcie leżą rozłożone, a przechodnie próbują pomóc im przy wstaniu.

– Tak... tylko problem jest, gdy sam się tak rozłożysz jak ja dzisiaj rano, tak sobie stłukłem dupsko, że mnie ciągle boli.

– Wyobrażam sobie, jak musiałeś wyglądać. Szkoda, że tego nie widziałem... Patrz, jakie z nich gołąbki. Wtuleni w siebie jak nastolatkwowie.

– Właśnie! Trzeba będzie ich rozdzielić.

– Co ty, już gliniarze próbowali, ja z kumplem próbowałem, jak ich pakowaliśmy, to nic z tego. Tak bardzo przymarzli do siebie.

– Z czasem się odmrożą. To co... skoczmy sobie kawkę zrobić?

– To jest myśl. Chodź.

Zamarznięci bezdomni pozostali na stole w prosektorium, ciągle nierozdzieleni, w objęciach, w jakich zostali tu przywiezieni. Mężczyzna i kobieta, oboje w średnim wieku. Stare, przetarte ubrania w kolorze dawno wyblakłej czerni. Długie, zaniedbane,

dawno niemyte i skołtunione włosy. Leżeli tak, pozostawieni sam na sam w swoim uścisku. Ten uścisk nie był zwykłym uściskiem, który miał na celu jedynie wytworzenie między dwojgiem ludzi ciepła, które miało ich uchronić przed zamarznięciem. Uścisk ten był pełen niezwykle czulej namiętności, która rzadko spotykana jest wśród ludzi, którzy są ze sobą przez wiele lat. Był to uścisk wypełniony głodem bliskości dwojga ciał, które za wszelką cenę, u progu wyczerpania sił, dążą do upragnionego scalenia się w jedną i niepodzielną istotę.

Pośród ogólnej ciszy panującej w tym pomieszczeniu, rozlegają się jedynie odgłosy głośnie rozmowy i śmiechów pracowników, popijających kawę w pokoju obok. Dwa trupy leżały, czekając na rozdzielenie i włożenie do oddzielnych szuflad lodówki. Na ich sinych twarzach nie widać było żadnych oznak bólu, jaki zapewne towarzyszył im w ich finalnych chwilach życia. Wyrażały one bar-dziej spokój, może nawet w pewnym sensie szczęście. Nieruchome palce mężczyzny wydawały się pieścić siną, zamarzniętą i spękaną skórę dłoni kobiety, a jego ciemne, pokryte licznymi strupami z zamarzniętej krwi i ropy usta spoczywały na jej czole, jakby delikatnie je muskając i próbując przekazać do jego wnętrza jakąś czułą i ciepłą opowieść, która miałaby się na stałe zagnieździć w jej, niczym już nigdy nieprzerwanym, śnie. Piękna twarz kobiety leżała na nieruchomej od bezdechu, okrytej łachmanami klatce piersiowej mężczyzny. Jej wielkie, zamknięte oczy, oddawały wyraz spokojnego snu, wraz z idealnie ukształtowanymi rysami nosa, łagodnie kreśloną twarzą, delikatnymi i miękkimi policzkami, mimo widocznego zamarznięcia, sprawiała wrażenie bezpiecznego i od-ciętego od całego zewnętrznego świata dziecięcego snu w rodzicielskich objęciach.

Rzeczywiście byli odcięci od tego całego świata, nie obchodził on ich już ani trochę. Oboje jakby zatopieni w jakimś innym, lepszym miejscu, z ironią i z kpiną nie zwracali na niego uwagi. Jedynie

ich ciała znajdowały się w nim ciągle, zależne od praw rządzących nim.

Pracownicy właśnie zaczęli kończyć dość długo przeciągniętą przerwę. Jeden z nich, wchodząc do sali, chwycił dwie pary gumowych rękawiczek, jedną z nich rzucił swemu koledze po fachu, a ten niezdarnym ruchem ręki, próbując je złapać, odbił je w kierunku stołu, na którym leżały zwłoki. Tamten, chcąc je złapać, upadł na posadzkę i stracił przytomność.

Tubalny głos odezwał się, brzmiąc jakby zewsząd dookoła, a każdy wyraz, jaki wypowiadał, powtarzany był przez lekko szumiące echo, odbijające się od ściany do ściany. Mówił:

– Popelniasz ogromny błąd. Czemu traktujesz nas jak jakieś rzeczy? Ponieważ jesteśmy bezdomnymi? Ponieważ wiesz, że wszystko, co zrobisz, ujdzie ci na sucho, bo wszyscy i tak mają nas głęboko w dupie, zresztą jak i ty? Chcę ci powiedzieć, że my też jesteśmy ludźmi. Też czujemy, mamy uczucia i pragnienia jak ty. Wiele razy w ustach miałem wygrzebane ze śmietnika niedopałki, resztki picia i jedzenia, niektórzy wiedząc, że wygrzebujemy te rzeczy ze śmietnika, pluli do wyrzucanych butelek z napojami i niedojedzonych kanapek, czasem nawet obsmarowywali te różne rzeczy fekaliami, byśmy pobrudzili sobie ręce i usta. Wiesz mi, nawet za tysięcznym razem czułem ten sam wstręt i obrzydzenie, jakbym to robił po raz pierwszy. Nie wiesz, co to znaczy, gdy chodzisz od przystanku do przystanku i grzebiesz w koszu na śmieci, pośród pogardliwych wzroków wszystkich wokół, z których każdy, nawet najmniejszy dzieciak, ma telefon komórkowy, markowe ciuchy i przeróżne modne gadżety, pośród mężczyzn w tym samym wieku co ja, którzy są elegancko ubrani, mają swoje posady, wypchane portfele, z których wygrzebują i dają mi jakieś niepotrzebne im drobne. Przecież mam tyle samo lat co oni, miałem niby takie same szanse, a jednak czegoś mi zabrakło. To co im jest niepotrzebne, jakieś miedziane ochłapy, którymi gardzą, które gdy im wypadną, to nawet nie myślą, by się

po nie schylić, to jest właśnie to wszystko, co miałem i mam i za co się utrzymuję wraz z żoną. Tak... ciągle mówię w czasie terażniejszym. Mam do tego prawo, jesteśmy nieżywi dopiero od kilku godzin, jeszcze się nie przyzwyczaiłem, lecz powoli będzie trzeba. Marne to nasze życie było, to fakt, ale powiem ci, że nawet trochę mi go szkoda. Mimo wszelkich niedogodności losu i codziennych niewygód, mimo ogólnego zniechęcenia i braku sił na jakiegokolwiek zmiany, apatii, częstych depresji, to widzisz... szkoda mi tego życia i chociaż czasem obojętne mi było, czy umrę, czy nie, to kiedy już umarłem, to szkoda mi i to już w pierwszych chwilach po jego końcu. Jedyne co mi nie było obojętne to to, żeby nie było tak, że któreś z nas umrze pierwsze, bo drugie będzie musiało się błąkać i radzić sobie samo w samotności. Widzisz, ta kobieta to wszystko, co mam, to jest to, co mi się najlepszego mogło trafić w życiu i się trafiło. Sam to już bym dawno na tym świecie zdechł. Sam bym sobie na pewno nie poradził. Zawsze się nawzajem wspieraliśmy i trzeba przyznać, że to trochę dziwne, bo potrafilismy się nawzajem wspierać, nawet gdy żadne z nas nie miało ani krzty siły i nadziei na cokolwiek, więc skąd ta umiejętność się brała, to nie mam pojęcia. Chociaż muszę przyznać, że czasami żałowałem, że ze mną jest, a to z tego powodu, że gdyby wybrała jakiegoś innego faceta, to może spotkałby ją inny, lepszy los niż ze mną. I to nawet pewne, ale cieszę się z tego, że była ze mną przez te wszystkie lata i dotrwaliśmy do teraz, do tej chwili, w której leżymy tutaj razem i nawet nie myślimy się puścić z naszych objęć. Chodzi mi o to, abyś wcale nie traktował nikogo gorzej, tylko dlatego że nie powiodło mu się w życiu. Pamiętaj, że nigdy nie wiadomo, co ciebie spotka w przyszłości. Z nami nie od razu tak było. Mieliśmy gdzie mieszkać, utrzymywaliśmy kontakty z rodziną, studiowaliśmy, pracowaliśmy, byliśmy także artystami. Ja grałem na gitarze w zespole, żona na wiolonczeli, pisywaliśmy drobne utwory literackie, udzielaliśmy się społecznie i kulturalnie, nie myśl, że masz do czynienia z byle jakimi menelami. Jednak życie potoczyło się jakoś tak dziwnie...

zostaliśmy bez środków do życia, a w efekcie bez dachu nad głową. W sumie wiązało się to z pewnymi problemami natury psychicznej, z którymi nie potrafiliśmy sobie poradzić, zaniedbało się przez to pracę i tak oto stoczyliśmy się na dno egzystencji, ale to właściwie nie twoja sprawa. Chodzi o to, że kiedy już wylądujesz na ulicy, to już nie ma odwrotu. Widzisz... żyjemy w czasach, gdzie każdy martwi się tylko o siebie i liczy się jedynie to, co zalicza się do dóbr materialnych, zresztą... wydaje mi się, że we wszystkich czasach tak było, bo znając naturę ludzką, to raczej trudno sobie wyobrazić, że kiedykolwiek mogłoby być inaczej. Czasy mogą się różnić jedynie o tyle, że kiedyś kryto ten popęd do materializmu, bądź przypisywano te działania, które są jego wynikiem wartościom moralnym, religijnym, patriotycznym, że to niby dla dobra kogoś tam, a ma tylko tyle na celu, aby mieć i korzystać i to jest właśnie ta różnica, że teraz mówi się o tym wprost, nie kryjąc własnej pustki duchowej, która już dawno przestała być wstydem. Człowiek tyle czasu spędził na ulicy, to wie, jak to wygląda. Wszyscy tylko gdzieś gonią, z domu do pracy, z pracy do domu. Szczególnie ta druga gonitwa jest bardziej bolesna do obserwowania z punktu widzenia bezdomnego. Tyle czasu nie mieliśmy dokąd wracać. Widzisz, mam do ciebie taką prośbę. Dopilnuj, aby nas nie rozdzielono. Chcemy być na zawsze razem, a najlepiej, byś nas razem, tak oto wtulonych w siebie, spalił. Nie chodzi mi o to, byś nas skremował, wiadomo, że to kosztuje, ale jeśli możesz, zabierz nas stąd, jakoś wydostań, polej benzyną i podpal. Chcemy się scalić w jedno, a nie możemy, dopóki jesteśmy uwięzieni w swych martwych, zamarzniętych ciałach. Będę ci dogonnie wdzięczny. To znaczy wiecznie wdzięczny, bo dogonnie byłoby bez sensu.

– O kurwa! Co się ze mną stało? Czemu tu leżę pod tymi trupami? Musiałem stracić przytomność. Ale miałem dziwny sen pod-czas tego omdlenia.

– A co? Widziałeś tunel i na końcu światelko?

– Nie, to było naprawdę dziwne. Coś jakby głos do mnie mówił. Głos tego bezdomnego, co tam leży... ten facet... mówił do mnie.

– Co ty pierdolisz? Że niby nawiedził cię jego duch?

– Coś w tym rodzaju, chociaż niezupełnie. Mówił coś o swoim życiu, o tym, że oderwał kawałek duszy, która jest odpowiedzialna za jego myślenie i dostała się ona do mojego ucha, a przez nią do mózgu i inne rzeczy.

– Rzeczywiście miałeś dziwny sen. Takie głupoty to mnie się nigdy jeszcze nie przyśniły.

– To właśnie mówię, że to było coś naprawdę dziwnego i ciągle siedziało mi w głowie.

– Lepiej idź do lekarza, powiedz, że zemdlełeś, weź zwolnienie i jedź do domu.

– Chyba masz rację.

– Tak będzie najlepiej.

Tak też zrobił. Poszedł do lekarza, wziął zwolnienie i wrócił do domu. Ciągle jednak chodziło mu po głowie to, co słyszał podczas utraty przytomności. Nie dawało mu to spokoju. Zastanawiał się nad tym, czy naprawdę nie było to w swoim rodzaju nawiedzenie przez ducha zmarłego. Przecież ten głos wyraźnie mówił, że jest tym mężczyzną, który leżał na stole w prosektorium. Krok po kroku coraz bardziej sobie przypominał, co mówił owy głos. Końcowe zdania były jakby wyrazem ostatniej woli dwojga zmarłych. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej to wszystko zdawało mu się tworzyć spójną i logiczną całość, i tym mocniej starał się utwierdzać w tym, że to tylko zwykła utrata przytomności, która spowodowała niedotlenienie i ten dziwaczny, lecz zarazem niepokojący sen. Stwierdził, iż najlepszym wyjściem z tej sytuacji będzie położenie się spać.

Siedzę na fotelu ze swoją kobietą. Oglądamy coś w telewizji. Nie wiem co. Po prostu kolorowe, przesuwające się obrazy. To dom

mojej babci. Wszystkie pomieszczenia są tak samo rozmieszczone jak u niej w domu, wyglądają tak samo, tylko wszystko przemawia za tym, że to mój dom. Mój dom, w którym na co dzień mieszkam. W koło przesuwają się jacyś ludzie. To moi krewni, a także bliska rodzina mojej dziewczyny. To jakby zjazd rodzinny, tylko że te rodziny, pozornie niemające nic ze sobą wspólnego, są jakby jedną rodziną. Chodzą, coś do siebie mówią, my siedzimy, oglądając telewizję. Nagle moja ciotka ma do mnie pretensję, że miałem jej coś podać, a że nie wiedziałem co, to się zapytałem, o co jej chodzi. Ciotka zaczyna na mnie wrzeszczeć i wszystkim rozpowiadać, jaki to jestem zły. Jesteśmy teraz na podwórku za domem mojej babci, to podwórko i dom są moim podwórkiem i domem, a przynajmniej wszystkie odczucia mi na to wskazują. Jesteśmy na tym podwórku, rozglądamy się dookoła. Wchodzimy z powrotem do domu, przez drzwi prowadzące do kuchni. Rozglądamy się po kuchni, kuchnia jest miejscem, gdzie dominuje szarość. Całe te pomieszczenie jest wypełnione szarością, a im głębiej się w nie zapuszczamy, tym szarość ta jest ciemniejsza, bardziej mroczna. Wszystkie głosy jakie do nas dochodzą, wraz z ludźmi, którzy je wydają i chodzą wokół, mijając siebie i nas, a także my sami, ta nasza wędrówka po tych pomieszczeniach i przebywanie w nich, wszystko jest takie mętne i jałowe, bez wyrazu, bez niczego. Kuchnia staje się coraz ciemniejsza i mroczniejsza w swej szarości... ciemno, szaro, bardzo chłodno, nic dziwnego, w końcu to prosektorium. Podchodzę do leżącej postaci mężczyzny. Jest cały za mgłą, jego rysów nie widać wyraźnie, ale widać jego długie, potargane włosy, spadające z kanciastego końca stołu, na którym leży. Trochę wyraźniej widzę jego twarz, lecz ciągle jeszcze jest zamglona. Spokojne zamknięte oczy na również szarej, twarzy jak wszystko wokół. Stoję w miejscu, ale ta twarz zdaje się przybliżać do mnie, równocześnie będąc rozmazaną, ale i coraz wyrazistszą. Ma zamknięte oczy, jest nieruchoma, ale jednocześnie odnoszę wrażenie, że patrzy na mnie. Ta twarz.

Ta twarz.

– TO MOJA TWARZ.

– Ta twarz, ten głos. Skąd? Co to? – zerwał się z łóżka, zadając sobie te pytania. Dopiero po krótkiej chwili i po szybkim rozejrzeniu się po pokoju uzmysłowił sobie, że to był sen i właśnie się z niego obudził. Wziął głęboki wdech i z powrotem położył się, rozmyślając o tej twarzy ze snu. Dobrze wiedział, czyja była to twarz i czyj głos, który się odezwał, kiedy nastąpiło jego obudzenie, a wiedza ta jeszcze bardziej go przerażała niż jego obawy przed pójściem spać. Coraz bardziej uświadamiał sobie, że te wizje ze snów nie były przypadkowe i że coś musi w tej sprawie zrobić, nie wiedział jedynie co.

Zastanawiał się, czy nie powinien wykraść ciała tych obojga z prosekatorium i spalić ich gdzieś poza miastem. Jednak jeśli miał-by to zrobić to jak? Przecież sam nie da rady, poza tym może to grozić nieprzyjemnymi konsekwencjami. Jeszcze ktoś by go oskarżył o bezczeszczenie zwłok i umieszczono by go w jakimś zakładzie karnym albo psychiatryku. Nikt przy zdrowych zmysłach mu nie pomoże, a sam nie udźwignie dwojga bezwładnych ciał. Poza tym nie mógłby wyjść stamtąd niezauważony przez nikogo i wpakować dwóch sztywnych, szczepionych ze sobą trupów do bagażnika samochodu. Tymi myślami próbował usprawiedliwić się przed samym sobą i łudził się, że jeśli jakakolwiek część duszy tego faceta ciągle jest w jego umyśle i zna jego myśli i wie, że próbował jakoś mu pomóc, rozmyślając, jak mógłby ich stamtąd wydobyć, to stwierdzi, że rzeczywiście sam nic nie wskóra, odpuści i da mu spokój. Tak oto, uspokojony, z czystym sumieniem powrócił do snu.

Dziwne teraz ustalają przepisy w tym szkolnictwie. Wymyśli-li, że dzieciaki mają zdawać z języka obcego dodatkowy egzamin, w dodatku ci, co już ukończyli studia, muszą się cofnąć do szkoły, aby zaliczyć ten egzamin. Całkowity nonsens i absurd, ale ustalanie takich bezmyślnych przepisów to specjalność naszych ministerstw.

Wszystko w tej szkole jest jaskrawo zielone. Nawet białe sufity od-bijają tę jaskrawą zieloność ścian i wszystkiego, co w efekcie czyni je zielonymi... idąc schodami trzeba uważać na ewentualnie lecą-ce splunięcia, wypadające z ust uczniów i ku ich ucieście spadają-ce na głowy wchodzących lub też schodzących po schodach. Ten egzamin ma być poprzedzony dwiema godzinami zajęć, na których każdy musi być. Kiedy wszedłem do sali, nauczyciel spytał się mnie, czemu mnie nie było na poprzednich dwóch zajęciach. Odpowiedziałem, że zgodnie z prawem akademickim przysługuje mi prawo do dwóch nieobecności z każdego przedmiotu, a on ze zrozumieniem pokiwał spokojnie głową i powiedział, że tak czy owak muszę jakoś odrobić te nieobecności. Ten nauczyciel miał dziwnie znajomą twarz. Ciągłe po głowie chodziły mi jego słowa: „musisz odrobić... odrobić... musisz to odrobić...”.

– Odrobić... odrobić... ale co ja muszę odrobić? A... znowu przysnąłem – stwierdził po podniesieniu się z łóżka i po ponownym rozejrzeniu się po pokoju. Wstał i poszedł do toalety, gdyż poczuł, że ma przepełniony pęcherz. Podczas stania nad sedesem i wypuszczaniu z siebie moczu uderzyło go spostrzeżenie, że ten nauczyciel ze snu miał twarz tego umarłego, bezdomnego mężczyzny, który się zakradł do jego głowy. Zaczął krzyczeć:

– Czego ty ode mnie chcesz? Przecież dobrze wiesz, że sam nie jestem w stanie tego zrobić! Nie wywlokę was stamtąd, chyba że chcesz, żebym miał nieźle przechłapane i wylądował w pierdłu, lub co gorsza, w jakimś psychiatryku. Zresztą to i tak mi grozi, bo zaraz oszaleję, już mi odbija. Gadam właściwie do nie wiadomo kogo, sądzę, że jakaś tam część duszy bezdomnego trupa weszła do mojej głowy i mnie przesładuje. Widzisz do czego mnie doprowadzasz?! Dobrze ci z tym?! Kurwa... co ja w ogóle gadam. Już na-prawdę odchodzę od zmysłów. Na dodatek się olałem, świetnie! – i począł wycierać nogawkę pidżamy papierem toaletowym, w końcu stwierdził, że to nie ma sensu, zdjął je i wrzucił do pralki. –



Krzysztof Konopa – urodzony w 1987 roku w Słupsku. Pisarz, poeta łączący w swojej twórczości groteskę ze światem marzeń sennych i podświadomości. Gitarzysta i wokalista metalowego zespołu Medarth.